ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 15-go Marca 1895. Nr. 6.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Ludmiła była młodziutkiem dziewczęciem, wesołego i żywego usposobienia, pełnego energii i chęci działania, więc oprócz dziwnej tęsknoty, jaką poczuła nagle do tej nieznanej rodziny, paliła ją nieprzemożona ciekawość, kim ona była rzeczywiście i pragnienie jak najprędszego rozpoczęcia poszukiwań. Ponieważ zaś każdy człowiek spodziewa się tego, czego bardzo pragnie, mianowicie niedoświadczonej młodości wydaje się wszystko możliwe, przeto i naszej sierocie wydało się rzeczą wcale prawdopodobną, iż rodzinę swoją znajdzie.

Myśli te ulatające chyżo w tak bliską a ciemną przyszłość, łagodziły nieco wielką boleść, jaką Ludce sprawiła śmierć pani Elżbiety i zwracały umysł panienki w inną, mniej kłopotliwą stronę.

Tymczasem pan Siekierzyński gorliwie się zajął przygotowaniami do pogrzebu siostry, której stratę odczuł bardzo głęboko.

Pani Gorajska słynęła z wielkich cnót niewieścich, a nawet i zgoła mężkich, jak męztwem i odwagą, któremi odznaczało się wiele niewiast mieszkających na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. W młodszych latach umiała ona dosiąść konia i na czele dworskiej czeladzi i poddanych kmieci odpierać napady tatarskie. A że przy tem na czci jej niewieściej nie było ani cienia skazy, że była zawołaną gospodynią i uczynną sąsiadką, gotową zawsze z pomocą dla drugich, przeto cieszyła się powszechnem poszanowaniem i miłością, zwłaszcza, że i dla ludu była najlepszą panią, nie spuszczającą się na służbę i komisarzy, ale wglądającą osobiście we wszystkie potrzeby włościan.

To też na wieść o jej śmierci lament i narzekanie zapanował w całych dobrach pana Marka, a istne mrowie ludu ciągnęło do Siekierzan, aby oddać ostatnią przysługę swej opiekunce i dobrodziejce. Tak samo i szlachta zjechała

się bardzo licznie, nawet z dalekich stron na pogrzeb pani Elźbiety.

Pomiędzy innymi przybył także pan Andrzej Zborowski, marszałek nadworny. Jeżeli kiedy, to szczególniej teraz, w czasie bezkrólewia, chodziło Zborowskim o pozyskanie jak najwięcej stronników dla swojej złej sprawy. Więc też pan Andrzej zjechał do Siekierzan, nietyle, aby oddać cześć pani Gorajskiej, której nie bardzo lubił, bo przeczuwał, że ona przestrzega brata przed ich przyjaźnią, lecz głównie, aby zjednać sobie pana Marka.

Powitawszy go więc serdecznie i wyraziwszy swoje współczucie, oświadczył zaraz, że po pogrzebie zabiera go z sobą. Lecz pan Siekierzyński odparł, iż z żalem wielkim odmówić mu musi, bo oto czekają go ważne sprawy majątkowe i zabezpieczenie losu sierocie, wywychowance zmarłej siostry. Przyznał się też otwarcie, że Ludkę pokochał gorąco i myśli ją niebawem zaślubić.

Zaraz w pierwszych dniach choroby pani Gorajska, czując się wielce słabą i sądząc, że lada chwila życie zakończy, prosiła brata, aby w razie jej śmierci nie czekał końca żałoby, lecz najpóźniej w sześciu tygodniach zaślubił Ludkę; uprosiła też pannę Annę Wisłocką, aby dała na ten czas przytułek sierocie. Później dopiero, gdy się choroba przeciągnęła, pragnęła pani Elźbieta pobłogosławić młodej parze i widzieć ustalone jej szczęście, gdy oto śmierć nagła stanęła na przeszkodzie temu życzeniu.

Pan Marek przypomniawszy sobie teraz prośbę siostry, ułożył wraz z panem Zborowskim, że ślub weźmie pod koniec stycznia a następnie wraz z młodą żoną podąży do Warszawy, na sejm konwokacyjny, który miał się tam zebrać na początku lutego.

W tydzień po śmierci pani Gorajskiej, odbył się jej pogrzeb nadzwyczaj wspaniale. Gorące modły popłynęły z tysięcy ust nieszczęśliwych i biednych, którym zmarła prawdziwą matką była. Niejedne oczy zalały się łzami, lecz wszystkie te objawy żalu i smutku niczem były wobec boleści pana Marka i Ludmiły; mianowicie ta ostatnia pogrążona była w niewymownej żałości i szczere we wszystkich budziła współczucie. Ponieważ jednak wszyscy wiedzieli, że niebawem zostanie żoną pana Marka, bo młodzieniec wcale tajemnicy nie robił z tego, że piękną sierotę poślubi, przeto ze współczuciem łączono przepowiednie wielkiego szczęścia dla stroskanej panienki.

Wróciwszy z pogrzebu pan Siekierzyński zafrasował się wielce, gdy spostrzegł, że panna Wisłocka nie przybyła sama, lecz tylko przysłała gońca z oznajmieniem, że będąc bardzo cierpiącą nie mogła, ku swemu wielkiemu żalowi, przyjechać na pogrzeb i zabrać ze sobą Ludki, lecz natomiast zaprasza ją serdecznie do siebie i troskliwą przyobiecuje otoczyć opieką, aż do dnia ślubu sieroty.

Nazajutrz więc po pogrzebie, gdy już wszyscy goście się rozjechali, a pan Andrzej Zborowski ściskając pana Marka, przyobiecał solennie przybyć na wesele i pannę młodą zaprowadzić do ołtarza i ostatni wyjechał z zamku, Jan Siekierzyński udał się do lewego skrzydła, gdzie było mieszkanie Ludki. W długim korytarzu spotkał pannę Agnieszkę, którą prosił, aby go oznajmiła sierocie. Ta kazała prosić młodego pana natychmiast, bo sama pragnęła jak najprędzej dać mu stanowczą odprawę i wyjechać do Warszawy.

Młody panicz wszedłszy do komnaty, stanął jakby olśniony widokiem Ludmiły. Czarna, długa, obcisła szata przepięknie uwydatniała wysmukłą, zgrabną kibić dziewczęcia, a śliczne liczko wydawało się, przy żałobnych kirach, alabastrowej białości; w całej zaś postaci rozlany był rzewny smutek, dziewicza niewinność i powaga; tylko ciemne, piwne oczy błyszczały energią i silnem postanowieniem.

Młodzieniec patrzał długo, przeciągnął ręką po czole i jakby zbudzony ze słodkiego marzenia, rzekł wreszcie z lekkiem westchnieniem:

— Daruj, mościa panno, że przerywam jej samotność, ale przychodzę ja

tu, jakby w poselstwie od drogiej nam obydwom i świętej pamięci siostry mojej, raczże mnie waćpanna cierpliwie posłuchać.

— Mów waszmość pan, słucham cię uważnie — odparła sierota cichym, lecz dźwięcznym głosem i krzesło wskazała swemu gościowi.

Pan Marek siadł naprzeciw Ludki i wpatrując się w nią z uczuciem, tak jął mówić:

— Wiadomo waćpannie, że śp. siostra moja a twoja opiekunka, pani Elżbieta Gorajska przeznaczyła mi twoją rękę i życzyła sobie, bym cię nieomieszkając zaślubił. Poczyniłem już do tego przygotowania, gdy oto śmierć nielitościwa wydarła mi ukochaną siostrę, a waćpannie matkę. Na początku przecież choroby pani Gorajska, jakby przeczuwając swój nagły koniec, wyraziła mi swoją wolę, abym w razie jej śmierci, nie czekał końca żałoby, lecz w sześciu tygodniach cię poślubił. Tym końcem uprosiła pannę Annę Wisłocką, aby ci miejsce matki ten krótki czas zastąpiła. Dziś więc pragnąłbym waćpannę, wraz z panną Agnieszką, która ci ma towarzyszyć, zawieść do Olechowiec...

Ludmiła słuchała z oczyma w ziemię spuszczonemi, lecz na ostatnie słowa pana Marka podniosła swe cudne, długiemi rzęsami ocienione oczy, a lekki rumieniec zabarwił jej policzki, gdy rzekła:

— Jakom ś. p. mej ukochanej opiekunce i matce odpowiedziała szczerze, tak i waćpanu powtórzę to samo, że ofiarowanej mi jego ręki przyjąć nie mogę...

Przerażenie z najwyższem zdumieniem odbiło się na twarzy młodzieńca.

— Jakto? Czym ja dobrze słyszał? — zakrzyknął.

— Tak jest. Lubo z przykrością, ale stanowczo mówię, za waćpana iść nie mogę i nie pójdę...

— Ale dla czego, na Boga! dla czego? Cóż masz przeciwko mnie, czemu mnie odrzucasz? Wspominała wprawdzie pani Elżbieta, że ty mnie nie znasz, więc się wzdrygasz, ale i to mówiła, żeś gotowa za tydzień iść do ołtarza ze mną!

— Musiałeś waszmość pan źle zrozumieć ś. p. panią Gorajską, boć ja ją na kolanach błagałam, aby mię nie niewoliła do poślubienia waćpana.

— Na Boga żywego! Cóż to jest, co to znaczy? Żali ci o to chodzi, że mnie znasz tak mało? Toż siostra moja, Panie daj jej niebo! zawsze mówiła, że mi małżonkę wychowuje, żeś ty dla mnie przeznaczona...

— Wierzę, że tak mówiła, skoro waćpan tak twierdzisz, ale ja nic o tem nie wiedziałam i...

— Ale teraz wiesz, więc po cóż się wahasz? Czemu mnie do rozpaczy przywodzisz twym uporem? Dziecko na pół jesteś, sama nie wiesz, co czynisz, okazując mi wzgardę, mnie, com cię całem sercem, całą duszą miłował!

— Ach! Przestań, waszmość pan, przestań!... Choć mię dzieckiem nazwałeś, jać wiem, co czynię, a czynię to, co powinnam.

— Ale dla czego mnie odpychasz? Dla czego buntujesz się przeciwko woli tej, co ci matką była, której jedynem pragnieniem w życiu było, widzieć cię małżonką moją? — tu pan Marek padł na kolana i wołał przejmującym głosem: — także twarde masz serce, że cię ani gorące życzenie twej opiekunki, ani moja boleść i rozpacz nie wzrusza? Także to zaciętość pod twoją gładkością, że dla kaprysu, dla nieludzkiego oporu depcesz kochające cię serce?

— Nie dla kaprysu ani uporu wzbraniam się zostać małżonką waćpana.... ale dla tego, że... nie kocham...

— Lecz ja nie żądam natychmiast miłości... Dość mi dziś będzie, gdy się na ślub zgodzisz, gdy żoną moją zostaniesz...

Zniecierpliwienie zabłysło w ciemnych oczach Ludmiły, powstała z krzesła i rzekła żywo:

— Powstań, waćpan, proszę, i zakończmy tę niemiłą...

— Ale posłuchaj mię... daj się ubłagać — mówił gorąco pan Marek i usiłował pochwycić rękę sieroty, lecz ta

cofnęła się o kilka kroków i rzekła dumnie:

— Powstań, waszmość pan, natychmiast, albo opuszczę komnatę... Ja co rzekłam, dotrzymam, słowa nie cofnę. Jutro zaś rano wraz z panną Agnieszką, pod opieką Semena, udam się do Warszawy, aby tam czynić poszukiwania za moją rodziną. A teraz...

Pan Siekierzyński zerwał się z kolan, oczy płonęły mu ogniem rozpaczy i gniewu, a ciemny rumieniec oblał mu lice, gdy krzyknął z uniesieniem:

— Jutro waćpanna będziesz tu w Siekierzanach i nie wyjedziesz ztąd tylko jako moja małżonka! Więc za opiekę i miłość mej siostry chcesz na pośmiewisko wystawić jej brata! Nie znasz jeszcze Siekierzyńskiego, skoro sądzisz, że dla twego dziecinnego uporu ja się zrzeknę twej ręki! I to teraz, gdy dzień ślubu niemal naznaczony, gdy sąsiedzi i przyjaciele o nim zawiadomieni, gdy wszyscy o tem małżeństwie mówią! Zostaniesz tu, bo jeźli tobie obojętna jest cześć domu, który był twoim domem rodzinnym, to wiedz, że ja tej czci bronił będę i na śmiech ludzki nazwiska i domu mego nie podam!

Ciemne oczy Ludmiły błysnęły ogniem, podniosła dumnie głowę i rzekła wyniośle:

— Mój mości panie, winnam ci wiele, to prawda, bom za twoje złoto wychowaną została, aleś mnie przecie tem złotem nie kupił i prawa do mnie nie masz. A chociem biedna sierota, to nademną jest Bóg... i ludzie się znajdą, którzy mnie pokrzywdzić nie dadzą...

— Doprawdy? I któż to się waćpanną tak troskliwie zaopiekuje? — spytał szyderczo, drząc ze wzruszenia i gniewu pan Marek.

— Ktoś, kto ma większe prawo do mnie, niż waćpan! — zawołała z gniewem nieostrożna Ludka.

Błyskawice podejrzeń zamigotały w czarnych oczach młodzieńca, który hamując wzburzenia, wykrzyknął syczącym głosem:

— Ha! Więc to tak!... Więc to dla tego kogoś mnie odrzucasz?.... I któż to taki, piękna panno?... Milczysz!... Otóż wiedz, że chcesz, czy nie chcesz, najpierw żoną moją zostaniesz, a potem, już jako twój małżonek, choć z pod ziemi wydostanę tego, który zdradziecko wydarł mi twoje serce, a teraz chce wydrzec i ciebie! Ale nic z tego, nic z tego, pokim ja żyw! I honor domu ocalę, i ciebie posiędę i zemszczę się krwawo!

Domawiając słów ostatnich, jak szalony rzucił się młody panicz ku drzwiom i wypadł z komnaty.

Ludmiła stała czas jakiś jak posąg, potem jęła oczami wodzić po pokoju, a w końcu chwyciwszy się za głowę, z jękiem padła na ziemię zemdlona. Biedna sierota teraz dopiero poznała jak ciężki popełniła błąd, poślubiając w tajemnicy Adama, a trwoga i niepokój o ukochanego małżonka, nad którym pan Marek mścić się zapowiedział, pozbawiły niebogę przytomności.

Panna Agnieszka, która w drugim pokoju była świadkiem rozmowy, przypadła z płaczem do Ludki i wraz z dziewczętami służebnemi, zwabionemi krzykiem starej panny, zaniosła sierotę na łóżko i cucić poczęła.

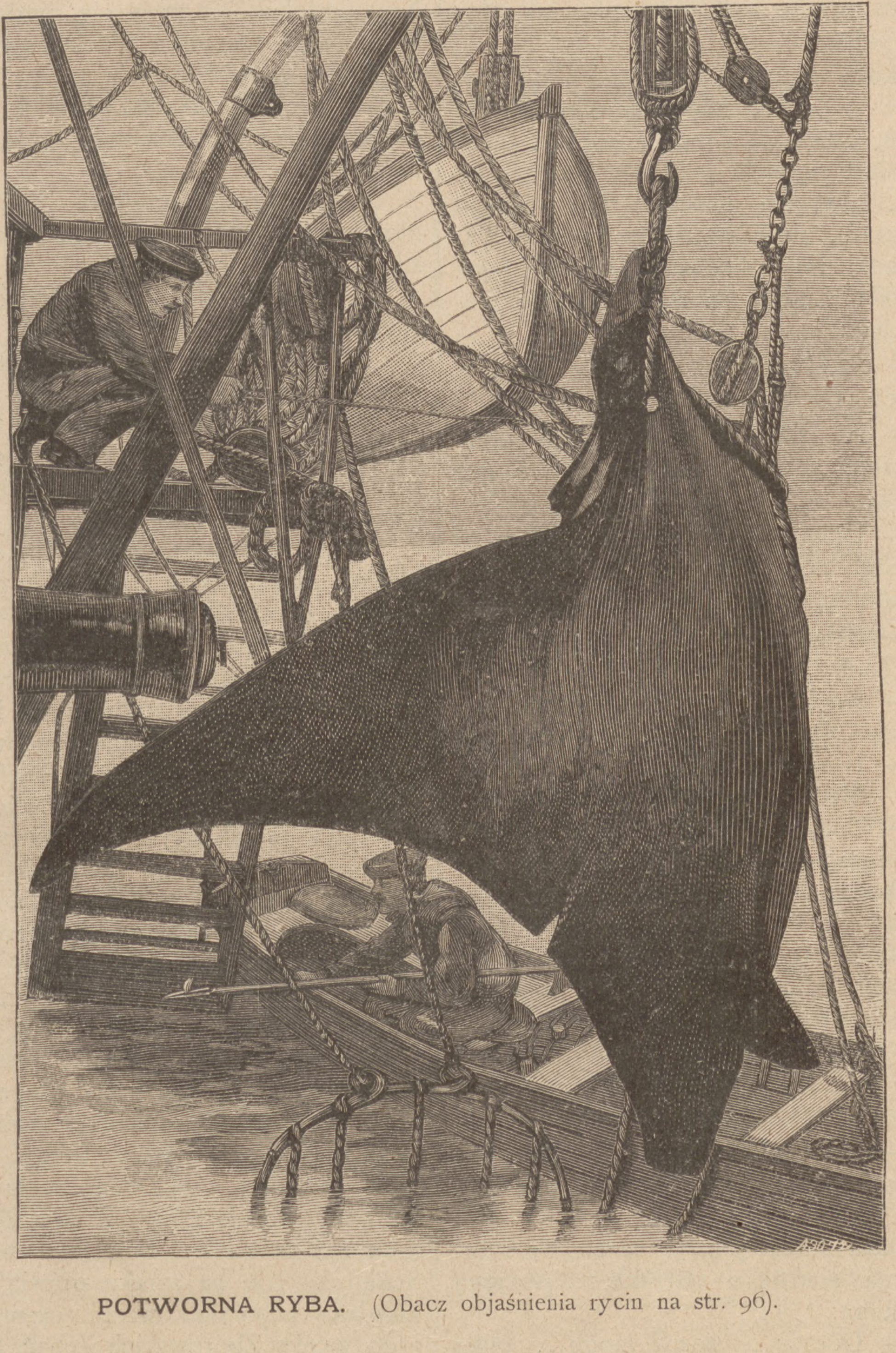
Na koniec po długich usiłowaniach zacnej staruszki, zemdlona otworzyła oczy, lecz niebawem zapadła w jakiś ciężki sen gorączkowy. Z jękiem i płaczem zrywała się z łoża, chcąc biedz komuś na ratunek, to się modliła i błagała o pomoc, to znowu przepraszała jakieś niewidzialne osoby i wołała o darowanie ciężkiej winy.

Strwożona panna Agnieszka krzątała się pilnie około chorej, gdy w przyległem pokoju usłyszała niespokojne kroki męzkie; uchyliła więc drzwi i ujrzała pana Marka, który jej dał znak ręką, aby weszła.

Długą chwilę trwała rozmowa staruszki z młodym panem, aż wreszcie panna Agnieszka wróciła do Ludki, trzęsąc głową i szepcąc do siebie:

— Tak, tak, a naturalnie! teraz strach... A potrzeba to było być kotem niebożątka? Ale to szalona polka! Nie darmo zawsze mówiłam...

W tem Ludmiła zakrzykła coś z płaczem, więc stara panna zaprzestawszy z sobą rozmowy, jęła warzyć zioła i



POTWORNA RYBA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 96).

przyrządzać chłodzące napoje, które na przemiany podawała chorej, aż ta zwolna uspokoiła się, a wreszcie nad ranem mocno i spokojnie zasnęła.

Bezsenne noce spędzane przy pani Elźbiecie, smutek wskutek jej śmierci i oddalenia Adama, troska i niepokój o przyszłość, gwałtowna scena z panem Siekierzyńskim pozbawiły zupełnie sił Ludmiłę, sprowadziły sen głęboki bez marzeń i rojeń, który trwał cały dzień

i noc następną. Sen ten długi był tak pokrzepiający, że wrócił sierocie zupełnie zdrowie i siły, zwłaszcza też, że panienka lubo wyglądała wcale delikatnie, zdrowa zawsze była i krzepka, jak młoda topolka.

Skoro więc na trzeci dzień po rozmowie z panem Markiem obudziła się Ludka, czuła się zupełnie zdrową i natychmiast sięgnęła po szaty leżące przy łóżku, aby się ubrać. Lecz panna Agnieszka, nie odstępująca na krok wychowanki swej ukochanej, zmarłej pani, chwyciła Ludkę za rękę, mówiąc niespokojnie:

— Ach! panienko biedna, dziecko drogie! Co ty znowu chcesz czynić?

— A cóż? Wstać przecie pora. Smacznie spałam i długo; już słońce wysoko.

— Długo, to prawda, ale też za to pierwszą noc gorączkowałaś okrutnie, a wiadomo, że taki sen...

— Jakto pierwszą noc? — przerwała Ludka.

— Ano, bo to przecie przespałaś, panienko, dwie noce i cały dzionek Boży.

— Nie może być.

— Może być, może, boś spała...

— Tedy tem spieszniej teraz wstawać muszę — rzekła sierota z pewnym niepokojem w głosie i poczęła się szybko ubierać.

Panna Agnieszka zaś patrzała przez ten czas na Ludmiłę jakby z politowaniem i obawą, chwilami zdawało się, że chce coś mówić, lecz znowu powstrzymuje się i namyśla. Gdy nareszcie Ludka przywdziała szaty, rzekła znowu:

— Moja dobra panno Agnieszko, każ-no której z dziewcząt przywołać do mnie Semena.

Stara panna popatrzała znowu smutnie na sierotę i odrzekła z pewnem wahaniem:

— Dobrze... kazać mogę... tylko czy się Jarema Suchowej zgodzi, aby tu Semen przyszedł...

— Czy się Jarema Suchowej zgodzi? Co waćpanna prawisz? Co ci jest?

Starowina zamała ręce.

— Ciężka twoja dola, panienko, sieroto, niebogo, oj, ciężka! — mówiła ze łzami w czach — Ty byłaś chora, panienko, to nie wiesz! Ej, ten Marek!... Nie podobał on mnie się nigdy... ni tu u niego szacunku dla starszych; ni w niczem pomiarkowania!...

— Ale cóż tu pan Marek i Jarema Suchowej ma do Semena? — zawołała Ludmiła.

— Ma, ma, panienko,.... bo my obydwie i służebne twoje jesteśmy uwięzione...

— Co?... Co?... Uwięzione?... — spytała ze zdumieniem sierota.

— Tak-ci jest, tak... Jako niewolnice w więzieniu trzymane.

— W jakiem więzieniu? Mówże waćpanna wyraźnie, bo ja nic zgoła nie rozumiem! — zakrzykła Ludka, podbiegając żywo do starej panny.

— Co tu wiele gadać! Jakeś, panienko, padła gdyby nieżywa, a po tem dostała gorączki, tak pan Marek, gdy się o nieszczęściu dowiedział, latał jak opętany, ręce łamał, aż w stawach trzeszczało, włosy rwał z czupryny i przyleciał aż tu, gnany strachem, byś zaś ciężko nie zachorowała. A mnie błagał i prosił... oho! przyda się przecie stara! więc mnie prosił, abym cię ratowała i po medyka do Kamieńca chciał słać gwałtem, aż mi się żal tego gwałtownika zrobiło. Jęłam tedy przedkładać, żeby do Kamieńca nie posyłał, bo to na nic, że nim medyk przyjedzie, moja panienka zdrowa będzie. Tak-ci się uspokoił i pocieszył przecie. I stało się jakom przepowiedziała; nad ranem opuściła cię, panienko, gorączka i zasnęłaś. A pan Marek zbywszy trwogi, długą miał rozmowę z Jaremą Suchowejem, któremu zamek i nas w moc oddał... Sam zaś poleciał... Bóg raczy wiedzieć dokąd... Ale na zamku prawią, że po księdza, aby ślub wziąć czemprędzej i do panów Zborowskich jechać, od których byli tu gońce.

Ludmiła słuchała staruszki ze ściągniętemi brwiami i z ogniem w oczach. Kilka razy przeszła się po pokoju, a gdy panna Agnieszka zaczęła znowu mówić:

— Pojechał-ci, pojechał, a Suchowej zamknął bramy zamku i korytarz od naszych pokoi...

Ludka zawołała nagle:

— Każ waćpanna wołać do mnie Suchoweja! (Ciąg dalszy nastąpi.)

JAK POWSTAŁY KĘTY?[1]

PODANIE.

Soła, wyszedłszy z żywieckiej ziemi,[2]
Sunie ku Wiśle w kraj rozciągnięty,[3])
Dawniej zarosły bory gęstymi,
Kędy w zakącie powstały Kęty.[4])

Niegdyś dwaj bracia — (któż zna ich imię?)
Mieszkali w zamkach od siebie w dali:
W zamku w Zatorze[5]) i w Oświęcimie,[6])
Obaj się wzajem srogo gniewali.

Obaj bogaci, z rodu książęta,
Mieli dóbr wiele i ludu wiele,
Lecz między nimi gniewność zawzięta;
Żyli ze sobą, jakby mściciele.

Krewni, znajomi i domownicy
Przeróżne o nich wiodą rozmowy:
»Trzeba ich zjednać gdzie w okolicy;
Dobra sposobność ku temu łowy«...

Więc między Solą a Wisłą w borze,
Gdzie stały książąt słupy graniczne,
Odbyto łowy, aby w tej porze,
Zeszły się społem drużyny liczne.

I rzeczywiście, gdzie Kęty stoją,
Przypadkiem bracia zeszli się razem,
Lecz jakieś miny dziwaczne stroją;
Każdy był niemy, jakby był głazem.

Aż ktoś zawoła: »Pan Bóg świat stworzył
Tylko z miłości; On miłość chwali
I w serca ludzkie uczucie włożył,
By się jak bracia wszyscy kochali!

A kto miłości rozrywa pęta,
Obraża Boga, Jemu nie służy«...
Podali sobie dłonie książęta,
Nie mogli bowiem gniewać się dłużej.

Z oczu wytrysła łza pojednania;
Widok ten wszystkich do głębi wzrusza,
Każdy książętom do stóp się kłania,
Radością pała każdego dusza.

»Dziś cześć i chwała niech będą Bogu!«
Zabrzmiało z serca braci wołanie
»Niech kościół stanie na tym rozłogu,
Przy nim osada niech też tu stanie!«...

»Wspomóżcie nieba!« głos odpowiada.
Już w zgodzie kroczą obaj rycerze,
Potem nastała wspólna biesiada,
By uczcić święte zgody przymierze.[7])

Siedli pod dębem; opodal zgraja
Chłopów, dworzanie, przyboczna służba.
Wtem z gniazda spadły trzy orle jaja.
»O, piękna« słychać »będzie ztąd wróżba!«

I Liebenwerde[8]) rychło powstało;
Na znak pół orła w polu pąsowem,
Jaj trzy w niebieskiem za herb dostało,
Z koroną książąt nad herbem nowym.

Z trzech jaj proroctwo początek bierze,
Że z miasta, jakby z gniazda orlicy,
Wyjdzie trzech świętych, mocnych swej wierze,
Na chwałę nieba — polskiej ziemicy.

---

[1]) Według podania, które zamieścił Jan Nep. Gątkowski w dziełku swojem: »Rys księstwa oświęcimskiego i zatorskiego« (we Lwowie 1867) na str. 94.

[2]) Żywieckie państwo, żywiecką ziemię lub krótko: żywiecczyznę stanowi gęsto zaludniona dolina Soły i Koszarawy, dwóch rzek, które ją przerzynają wraz z licznymi swymi dopływami. Od południa i zachodu przytyka do granicy węgierskiej i śląskiej, od północy graniczy z powiatem bialskim, dalej wadowickim, od wschodu z myślenickim (w przedłużeniu jako dzisiejszy żywiecki powiat.) Samą żywiecczyznę zamieszkują Górale, zwani Żywczakami. Jestto jeden z najstarożytniejszych rodów góralskich, którego niejako stolicą jest miasto Żywiec, wyłącznie tylko przez samą ludność katolicką zamieszkałe, zwane u nich zazwyczaj miastem. Pragnących poznać bliższe szczegóły tej ziemi, odsyłamy do dziełek: »Dziejopis żywiecki.« W Krakowie, 1866 i »Żywiecczyzna« przez ks. prof. Eugieniusza Janotę. W Cieszynie, 1859. Ks. Janota urodził się w Kętach.

[3]) Od granicy żywiecczyzny, gdzie leży wieś Międzybrodzie, ku Kętom i po za niemi, charakter okolic zmienia się znacznie.

[4]) W przywilejach, książkach i pismach, dawnych i teraźniejszych, znajdujemy nazwę: Kąty, Kanthy, Kanthy, Kenty, Kenthi, Kenthy, wreszcie Kęty.

[5]) Miasteczko, nad Skawą blisko jej ujścia położone, z zamkiem i starożytnym kościolem, bylo dawniej stolicą księstwa zatorskiego.

[6]) Miasto nad Solą blisko jej ujścia, niegdyś stolica księstwa oświęcimskiego.

[7]) To przymierze zgody stało się około roku 1200, kiedy książę oświęcimski, Masław, zbudował tu farny kościół, a kto inny fundował kościół św. Krzyża, po którym nie ma żadnego śladu. Istnieje tylko ulica świętokrzyska.

[8]) Książęta mówili po niemiecku, dla tego nazwali nową osadę Liebenwerde, czyli: Niech się stanie miłość. Lud nazwał ją Kątami, bo się kryła w kącie między borami.

I tak się stało. Jan, Kantym zwany,[9])
Którym się chlubi polska kraina,
Tu się urodził z cudów jest znany;
Tu na świat przyszła święta Ludwina.[10])

Oni roznoszą sławę po świecie,
Jak jest daleki, jak jest szeroki,
A co przyniesie jaje zaś trzecie,
Nieznane jeszcze Boskie wyroki.

Z miłości, zgody miasto powstało;
Gdy rość w nim będzie miłość i zgoda,
Nową się znowu okryje chwałą,
Która nowego blasku mu doda.

Józef Chmielewski.

[9]) Św. Jan Kanty, podobno syn kościelnego, urodził się w Kętach w 1390 roku. Ks. Piotr Skarga podaje rok 1412, zaś Józef Muczkowski według rękopisu św. Jana Kantego, przechowanego w książnicy jagiellońskiej, rok 1389 na 90. W miejscu, gdzie się urodził ten święty, stoi piękna wielka kaplica, obok niej wspaniały kościół farny z 17 wieku, postawiony ze starego. Był w Kętach także kościół Wszystkich Świętych, lecz ten w 1786 roku rozebrano. Jest tu także kościół i klasztór OO. Reformatów, a na rynku stoi posąg św. Jana Kantego, w 1851 r. wystawiony. Ciało tego świętego spoczywa w kościele św. Anny w Krakowie.

[10]) Błogosławiona Ludwika albo Ludwina urodziła się w Kętach w 1563 roku. Pochodziła z ubogich rodziców. Przez lat 30 wiodła świątobliwe życie w Rzymie, dokąd udała się o żebraczym chlebie. Umarła tam w 1623 roku i pochowana w kościele św. Stanisława. Obraz jej przechowuje się w kościele OO. Franciszkanów w Krakowie.

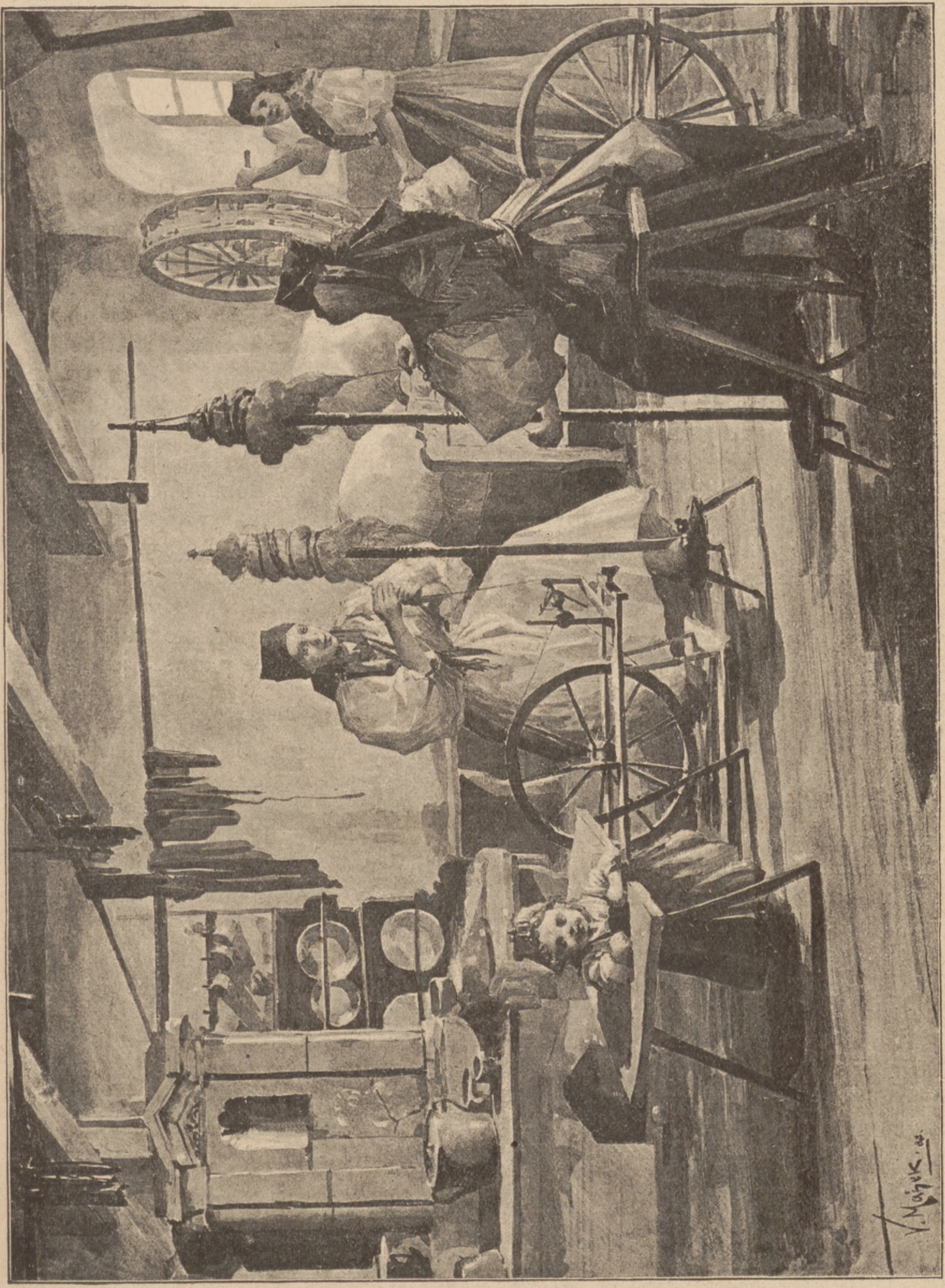
BRATOBÓJCZA WALKA.

Rządy Henryka I. Brodacza, księcia wrocławskiego, nie mogły mu w żaden sposób pozyskać przychylności polskiego ludu na Szląsku. Toż widocznie więcej on sprzyjał Niemcom niż Polakom. Sprowadzonych przez siebie niemieckich osadników, którym nieraz polscy chłopi miejsca ustępować musieli, obsypywał łaskami licznemi. Chętnie się też otaczał niemiecką szlachtą, której szczodrze rozdawał przywileje i ziemskie posiadłości. Niemiecki język, niemiecki obyczaj panował na dworze jego. Boleśnie odznaczali Polacy swe upośledzenie, ale silna prawica Brodacza trzymała ich w uległości i posłuszeństwie. Dopiero pod koniec życia Henryka, († 1238 roku) tłumiona długo niechęć Polaków do księcia i popieranych przez niego, a butnych przybyszów groźnym buchnęła płomieniem.

Z synów Henryka Brodacza i ś. Jadwigi starszy, Henryk, zwany Pobożnym, miał jak ojciec słabość do Niemców. Wychowany przez matkę Niemkę, której dwór, tak samo jak późniejsza siedziba, klasztór trzebnicki, miał całkiem niemieckie znamię, wzrósłszy pod okiem ojca, który we wszystkiem dawał pierwszeństwo Niemcom, zobojętniał młody książę do Polaków. Natomiast brat jego młodszy, Konrad, zwany Kędzierzawym, nie uległ urokowi, jaki dla ojca i brata miała niemczyzna. Czuł on się całą duszą Polakiem, Niemców nienawidził, a rodakom swym jawnie okazywał życzliwość. Ztądto pochodziła niechęć ojca do syna. Henryk Brodaty zdala go trzymał od rządów, gdy przeciwnie brata jego za współrządzcę uważał, wystawiając nawet dokumenty w swojem i jego imieniu. Nic dziwnego, że skutkiem tego pomiędzy braćmi miłości nie było.

Około Komeda kupiła się dotknięta forytowaniem Niemców szlachta polska. Stosunek pomiędzy Konradem, a rodzicami i bratem stawał się coraz przykrzejszym. Gdy wreszcie Brodacz postanowił ożenić go z księżniczką saską i wydzielił mu szczupłe tylko dzierżawy, przeznaczając równocześnie Henrykowi Szląsk i inne ziemie polskie, nad któremi uzyskał był panowanie, wtedy Konrad równie niezadowolony z działu swego, jako też z zamysłu ojcowskiego wyswatania go z Niemką, jawny podniósł rokosz. Szlachta polska chwyciła się tej sposobności, by się pomścić na Niemcach i ich poplecznikach, i stanęła po stronie Konrada. Przeciwko niemu wyruszył Henryk Pobożny z Niemcami i zniemczonymi Polakami. Stary Henryk, którego, zdaje się, dawna opuściła sprężystość, usunął się do Głogowy, św.

Jadwiga zaś do Niemczy po daremnych usiłowaniach zapobieżenia krwi rozlewo-ska, chodziło bowiem o to, czy polskość, czy niemczyzną miała wziąść górę



PRZY KĄDZIELI.

wi. Pod Studzinicą (Rothkirch) w pobliżu Lignicy przyszło do walnej bitwy. Była to ważna chwila w historyi Szląw nadodrzańskiej krainie. Szczęście nie sprzyjało Konradowi. Po zaciętej walce, w której obie strony znaczne poniosły

straty, uległ Konrad i rycerstwo polskie Henrykowi i Niemcom.

Pobity, uszedł Konrad do Głogowa, gdzie się z ojcem pogodził. Wkrótce potem, polując w puszczy tarnawskiej, spadł z konia tak nieszczęśliwie, że na miejscu ducha wyzionął. Za staraniem siostry Agnieszki, która go bardzo kochała, pochowano ciało jego w Trzebnicy.

W. Sośnki.

ZWYCZAJE ZWIERZĄT.

Wszędzie, gdzie spojrzymy, widać mądrość i dobroć Boga. Czasem wyraźnej to widać u zwierząt, aniżeli u człowieka, ponieważ zwierzę nie ma woli i na włos tak wszystko zrobi jak Bóg przykazał, kiedy człowiek wolną swoją wolą często inaczej działa, aniżeli Bóg przeznaczył i przykazał.

Bóg nie dał zwierzętom rozumu tak jak ludziom, lecz tak urządził naturę każdego zwierzęcia, że według rozumu Boga postępuje i wykonuje wszystko. Każdemu zwierzęciu Bóg dał pewne przeznaczenie i środki i drogę wyznaczył, aby każde wypełniło swoje przeznaczenie. Zwierzę rozumnie postępuje, lecz to nie rozum zwierzęcia, lecz rozum Stwórcy, który rozumnie ułożył naturę zwierzęcia. Zegarek mądrze chodzi i wskazuje godziny, lecz to nie rozum zegarka, lecz rozum tego, kto zegarek wynalazł i złożył.

Dziwnem jest, **jak zwierzęta uczą swoje młode.** Bocian i bocianica uczą z wielką rozwagą i troskliwością młode, jak mają stawiać nogi po bocianiemu. Pokazują to młodym, a potem patrzą, czy dobrze po nich naśladują. Jeżeli młode nie uważają dobrze, to stare dzióbem je dziobną. Jak stać na jednej nodze, jak kręcić karkiem, jak skrzydeł używać do latania, tego wszystkiego uczą się młode bociany od starych i muszą przejść cały kurs nauki. Bardzo niezgrabnie biorą się młode bociany do latania, a stare okazują przy uczeniu wiele cierpliwości. Bocian i bocianica pokazują rownocześnie młodym, jak mają używać skrzydeł i jak mają niemi poruszać, wznoszą się nieco w górę i zaraz znowu spuszczają i tak długo to powtarzają, póki młode nie zaczną ich naśladować. Dopiero teraz idzie nauka dalej. Stare okrążają gniazdo, coraz większe robiąc koła, póki młode nie nabiorą zupełnej wprawy w lataniu. Na koniec wylątują stare z młodymi na łąki i uczą ich tu łapać żaby i inne robactwo.

Każdy może łatwo się przekonać, jak kot uczy kocięta, bo to domowe zwierzę, w każdym domu jest kot. Łapie kot mysz i przynosi żywą przed kocię. Stara puszcza mysz, która zaczyna uciekać. Lecz w tem stara puszcza się za nią i znowu chwyta, póki kocię nie rzuci się zgrabnie na mysz, nie chwyci takowej, która się staje pierwszą jego zdobyczą.

U niektórych zwierząt widać życie rodzinne, małżeńskie. Niejeden ptak, samiec, wyręcza samicę, siada na jajach, aby zwolnić małżonkę, albo towarzyszy jej, kiedy musi wylęgać jaja, aby się jej nie nudziło. Czasem samiec pomaga samicy we wychowaniu młodych. — Kogut zawsze jest otoczony swoją rodziną i chodzi z nią po podwórzu. Zachowuje kogut przytem wielką powagę a zarazem grzeczność dla kur. Okazuje się kogut obrońcą całej kurzej gromady. Skoro znajdzie ziarnko, zwołuje całą rodzinę i oddaje jej wspaniałomyślnie, co znalazł. Jeżeli niezgoda powstaje pomiędzy kurami, zaraz się kończy, skoro kogut uda się w sprawę. Żadnemu kurczęciu nie wolno zapiać »kikeriki« przed kogutem. Kiedy kogut usłyszy, jak kura oznajmia, że zniosła jaję, zaraz przylatuje i głośno z nią okazuje swą radość. Lecz kiedy się sprowadzi innego, obcego koguta na podwórze, zaraz powstaje zazdrosna walka, na śmierć, która

rzeczywiście się nie kończy, póki jeden z przeciwników trupem nie padnie.

W instynkcie, czyli w naturze zwierząt widzimy ślady małżeństwa, rodziny, własności. Zastanowienia godnem jest też, **jak się zwierzęta zachowują w obec swych nieprzyjaciół.** Dziwnem jest, jak każde zwierzę poznaje swego nieprzyjaciela, jak go się strzeże, jak się przed nim broni. Jeżeli wpuścisz do młodego salamandra w szklankę pijawkę, której salamander nigdy nie widział, zaraz widać strach przed nieprzyjacielem u salamandra. Możeby kto myślał, że pijawka wydaje jaką woń nieprzyjemną dla salamandra. Lecz tak nie jest, bo jeżeli się przedzieli szklankę szkłem na dwie połowy, z której w jednej znajduje się salamander a w drugiej pijawka, to mimo przedziału salamander okazuje strach. Jeżeli przedział jest nieprzejrzysty, wtenczas wszystko spokojne.

Tak się dzieje u wszystkich zwierząt oprócz domowych, u których w ogóle instynkt się zaciera skutkiem przestawania z ludźmi.

Tylko ślepy instynkt pokazuje nieprzyjaciela zwierzęcia, gdzie braknie instynktu, tam zwierzę wchodzi nieprzyjacielowi w paszczę. Niedźwiadek mrówczany wtyka długi język wprost w mrowisko. Mrówki siadają kupami na język, a niedźwiadek połyka je wciągając język. Mrówki nie widzą niebezpieczeństwa, choć są to zresztą bardzo mądre zwierzątka, bo tu milczy instynkt. Często jednak instynkt prowadzi zwierzęta wprost w niebezpieczeństwo. Komar (koprucha), który umie uciekać przed śmiercią, nie może się oprzeć pokusie, aby się przybliżyć do światła, choć widzi pełno ciał zniszczonych swych krewniaków przy świecy. Instynkt prowadzi go do tego, aby się ugrzać przy świetle i gubi go.

Instynkt służy zwierzętom tylko w naturalnych stósunkach, skoro natura sztuką zakryta, ustaje instynkt. Zwierzęta, które unikają naturalnej trucizny, pożywają takową skoro jest w jakim pokarmie. Sztucznego niebezpieczeństwa, które człowiek stawia zwierzęciu, takowe nie widzi. Mucha patrzy na to, jak setki innych much męczy się na papierze lepkim, a jednak siada na lep. Zwierzęta najdowcipniejsze i najostrożniejsze wpadają w najprostszą zasadzkę i wracają do niej, chociaż z wielkiem niebezpieczeństwem jej uszły. Lis szczwany nieraz wpadłszy w łapkę ugryza sobie nogę, aby uzyskać wolność, lecz przy najbliższej sposobności znowu się łapie, nie pouczony doświadczeniem. Tylko zwierzęta wychowane przez człowieka, robią doświadczenia i korzystają z nich.

Ciekawą rzeczą jest też, jak zwierzęta chronią się przed nieprzyjacielem i jak z nim walczą.

Jeż nie wdaje się wcale we walkę, zwija się w kłębek, najeża kolce i spokojnie leży, wiedząc, że mu nikt nic nie może zrobić. Lis macza ogon w gryzącym mokszu i pryska nim psom w oczy. Śmierdziuch w Ameryce ma sok nader śmierdzący w pęcherzynie, którym opryskuje przeciwników, aby mu dali pokój. Atramentnik, ryba, wydaje ze siebie czarny sok, kiedy większa ryba ją ściga, przez co woda się mąci i nie widać, co w niej się znajduje. Pająki w niebezpieczeństwie udają, że nie żyją i pozostają tak przez wiele godzin, nie ruszając się.

To są wszystkie cuda natury, czyli boskie, bo naturę urządził Bóg.

JENIEC W „OGRÓDKU RÓŻ.“

Podanie (z obrazkiem).

W Dolnej Austryi, nad brzegiem Dunaju, niedaleko słynnego klasztoru Melk, wznosił się w 14 wieku obronny zamek Agstein, na skale zbudowany. Pan z Agsteinu był rycerzem, lecz nie walczył w wojnach, tylko trudnił się



JENIEC W „OGRÓDKU RÓŻ.“ (Obacz na str. 91.)

rozbojem; napadał kupców w lasach i po drogach. Jeńców zaś tracił w okropny sposób. Przy cyplu skalnym, wystającym nad bezdenną przepaścią, kazał urządzić drzwi żelazne z podwórza zamkowego i tam wypychał jeńców, a drzwi zamykał. Na owym cyplu nie było więcej miejsca, jak tyle, że człowiek mógł na nim usieść. Rycerz nazywał tę skałę »ogródkiem róż.« Kto się tu dostał, ginął albo śmiercią głodową, albo zrzucał się w przepaść i rozbijał sobie głowę o skały.

Pewnego dnia udało mu się schwycić w lesie syna sąsiada, młodego Szpyca, gdy tenże polował. Pan z Agsteinu wielce się ucieszył, więcej niż gdyby był bogatego kupca ograbił, bo sąsiada nienawidził. Postanowił zaraz jeńca swego umieścić w »ogródku róż.«

— Witajcie do nas, miły paniczu, — rzekł szyderczo do niego, gdy na drugi dzień do więzienia wszedł. — Obawiam się, że w tej komorze wam się nie podoba. Dla tego wyszukałem dla was prześliczny kącik, zkąd możecie nasycić się wspaniałym widokiem na całą dolinę nadrzeczną. Tam jest miło i spokojnie, nikt wam nie będzie przeszkadzał. Lecz proszę was o przebaczenie, jeżeli tam trochę ciasno; mój »ogródek róż« nie jest wielki.

— Znam wasze zamiary, rycerzu, — odrzekł jeniec, — wiem, że na śmierć mnie wydać chcecie. Proszę was jednak o spowiednika, ażebym się mógł na śmierć przygotować.

— Na moim zamku nie ma księży! — odpowiedział pan z Agsteinu. — Wstańcie i chódźcie za mną do »ogródka róż«, ażeby wilgoć tej izby nie zaszkodziła waszym delikatnym licom.

Jeniec musiał usłuchać i za chwilę znajdował się już w »ogródku.« Ach, jak straszliwe było jego położenie! W głowie mu szumiało; oparł się o drzwi, przymknął oczy i zaczął się modlić. Tylko Pan Bóg mógł mu dopomódz; pomocy ludzkiej nie mógł się spodziewać.

Wtem za drzwiami usłyszał cichy głos, który po imieniu go zawołał.

— Czego chcesz? — zapytał jeniec.

— Wyratować was, — brzmiała odpowiedź. — Nie całe dwadzieścia łokci niżej skały, na której stoicie, znajduje się cypel, gdzie się zatrzymać możecie; ztamtąd można po skałach zejść na dół. Tu jest powróz długi; jeden koniec przetknijcie pod drzwiami, abym go tu mogła przytwierdzić, a potem spuszczajcie się na dół.

— Bóg ci zapłaci, aniele w ludzkiej postaci, — zawołał jeniec, chwytając rzucony powróz i koniec tegoż pod drzwiami przesuwając. — Zanim jednak się spuszczę, raczcie mi powiedzieć, komu zawdzięczam ratunek?

— Jestem córką pana z Agsteinu! Niech was Bóg ma w swojej opiece.

Jeniec ukląkł na skale i podziękował Bogu za cudowną pomoc. Potem zaczął się spuszczać w przepaść. Zamknął oczy, ażeby mu się w głowie nie zakołowrociło. Szczęśliwie dotarł aż do owego cypla dolnego, tam odpoczął, a potem z wielkim mozołem zeszedł na dół.

Gdy przybył do zamku ojca, zastał wszystkich w wielkim smutku, lecz gotujących się do walki. Ojciec, dowiedziawszy się o zabraniu syna w niewolę, zbierał rycerzy, aby dobywać Agsteinu.

Trudno opisać uciechę ojca z powrotu syna. Mimo to jednak ojciec nie zaniechał wyprawy, a syn wziął w niej także udział.

Pan z Agsteinu nie przypuszczał, że kto się pokusi o zdobycie jego zamku, bo to zdawało się być rzeczą niemożliwą. Nie miał więc wielu żołnierzy, mury zamku były już zniszczone. Tymczasem waleczne rycerstwo obległo zamek i zdołało, wdrapawszy się po skałach, wyrąbać bramę. Wtedy na podwórzu zawrzała straszna walka. Pan z Agsteinu walczył mężnie, a przy nim w zbroję ubrana jego córka.

Napastnicy mieli większość, przeto też wybili rycerzy Agsteinowych do nogi. Tylko Agstein sam z córką jeszcze się bronili aż ciągle ustępując, stanęli przy drzwiach do »ogródka róż.« Wtedy były jeniec spostrzegł, że jeden z rycerzy celuje z łuku do córki Agsteina.

Skoczył, chcąc temu przeszkodzić, lecz nie zdążył. Strzała furknęła i trafiła dziewicę w serce, że natychmiast padła bez duszy.

Pan z Agsteinu osłupiał na chwilę, potem ryknął z boleści i gniewu, jak lew umierający, rozwarł drzwi do »ogródka« i skoczył do przepaści, w którą tak wielu postrącał.

Ciało poległej dziewicy kazał niedawny jeniec pogrzebać w kaplicy; często chodził tamdotąd i opłakiwał zgon mężnej niewiasty. Do śmierci nie pojął żony z żalu za swą wybawicielką.

Słowa królowej Jadwigi.

Ucichły boje, — na złotym tronie
Król siadł w koronie.
Dokoła w zbrojach z świecącej stali
Panowie Rada stoją na sali.

Na drugim tronie siedzi królowa.
Szata perłowa
Z pod gronostajów cudnie ją stroi,
A w koło milczą panowie w zbroi.

Król sądził sprawy. Weszli wieśniacy —
Istni żebracy!
Mężowie smutni, niewiasty płaczą
Nad swą nieszczęsną dolą żebraczą.

Rzecze chłop siwy: »Pułki zabrały
Dobytek cały,
W zagrodach naszych dziś kij dziadowski.
Wzięliśmy w rękę i wyszli z wioski«.

Król słuchał skargi i rzekł łaskawie:
»Szkodę naprawię,
Idźcie w pokoju; acz nie bogaty
Skarb nasz, powrócim zrządzone straty.«

Na to wtrąciła śliczna królowa
Swe złote słowa:
»Wróci się — wróci stracone mienie,
Lecz któż im wróci łzy i cierpienie?«

OBRAZKI CZESKIEGO ODRODZENIA.

Z LISTÓW I OPOWIADAŃ EDWARDA JELINKA.

(Ciąg dalszy.)

Mimo usiłowań największych, nie można było przez długi szereg lat spraw teatralnych tak uregulować, jak tego wymagała nietylko już potrzeba, ale i sama godność narodowa. Dziś grano tu, jutro tam, pojutrze Bóg wie gdzie. I z tego względu choć najmniejszy »postęp«, wywoływał ogólną radość i zachęcał do dalszej pracy. Nareszcie około roku 1850 zezwolono urządzać czeskie przedstawienia obok niemieckich, oprócz niedziel i świąt, co czwartek. Co za szczęście! Czesi mogli dwa razy na tydzień w stolicy kraju swego, słyszeć język rodowity w teatrze... Tak się wlekła sprawa czeskiego teatru dosyć smutnie aż do roku 1862, w którym przeniosła się nareszcie sztuka czeska do własnego, wyłącznie już dla czeskich przedstawień wzniesionego tymczasowego królewskiego i krajowego teatru. W Maju 1862 roku rozpoczęto budowę tymczasowego teatru, a już w Listopadzie tegoż roku Muzy Czeskie na zawsze opuściły teatr niemiecki. Publiczność czeska z wielką radością pożegnała to miejsce, w którem niejednokrotnie znosić jej przychodziło najdotkliwsze upokorzenia, krzywdy, a nawet i pośmiewisko. Dnia 18-go Listopada 1862 r. otwarto nowy teatr pierwszem przedstawieniem. Owa tymczasowa budowa nieodznaczała się wprawdzie niczem; ani budową okazałą, ani przepychem urządzenia, nie mogła się też porównywać z niemieckim teatrem w Pradze — lecz już to był skarb nieoceniony; tam byli Czesi przynajmniej u siebie i nikt im nie mógł »na ścianę

ciskać.« Tam też rozpoczęła się sztuka czeska regularnie i systematycznie rozwijać, tam gotowano się na wielki teatr narodowy, do historyi którego właśnie wracamy.

Podczas gdy zajmowano się tymczasowym teatrem, myśl zbudowania wielkiego narodowego divadla w Pradze dojrzewać poczęła. Miał to być pomnik czeskiej wytrwałości, miłości do swojskości i w oczy bijące świadectwo istnienia narodowości czeskiej. Ponieważ nie było nadziei, by się chciał ktokolwiek ująć za sprawę czeską z jakiejkolwiek pobudki, przeto wcześnie myśleli Czesi o tem, ażeby własne swe siły skupić i własnemi siłami dokonać tego, co gdzie indziej zrobić uważa za obowiązek, żywioł będący odosobniony od masy biednego ludu. Co gdzieindziej zrobił rząd, arystokracya lub fundusz krajowy, tego dokonał w Czechach lud — »naród sobie.«

Już w roku 1846 dnia 3 maja, zebrał się w Pradze spory zastęp czeskich »wlastenców«, ażeby naradzić się, jakim sposobem dałby się samoistny teatr utworzyć.*) Ma się rozumieć, że prawie jedynym środkiem zebrania potrzebnych funduszów mogły być dobrowolne składki, które później tak prześlicznie cechowały zapał i ofiarność czeskiego ludu. Skutkiem wypadków w roku 1848 i 1849, których wpływ w Czechach odbił się tak fatalnie na wszystkich sprawach, z rozwojem narodowym związek mających, wlekła się powoli i sprawa składek na teatr, mimo to jednak wynosiły one w końcu 1851 roku już 64,653 złr. Odtąd pracowano już nieustannie, niczem się nie zrażając pełnych trzydzieści lat i chociaż w przeciągu tego czasu następowały chwile pewnej omdlałości (a niedziw) przecież wytrzymano. Komitet dla zbudowania »Wielkiego narodowego teatru w Pradze« (Velké dustojné narodni divadlo w Pradze) mając od samego początku swej działalności na czele ludzi sumiennych i energicznych, dorobił się mimo ciężkich stosunków rezultatu, jaki na zawsze będzie zdobił jedną z najwspanialszych kart czeskich dziejów. Z tych zaś mężów, którzy całem sercem i całą duszą ofiarowali się myśli zbudowania teatru »dostojnego«, wymieniamy tylko dwóch najwybitniejszych: Dra Franciszka Władysława Riegera i Dra Karola Sladkowskiego.

Chcąc poniżej zanotować parę słów wyłącznie o składkach, wypada nam nawiasem zrobić wzmiankę o dniu 16 maja 1868 roku kiedy położono kamień węgielny uroczyście pod gmach muz czeskich. Była to uroczystość wiekopomna, narodowa manifestacya na zewnątrz, która ogólny wywołała podziw nietylko w łonie kraju czeskiego, ale i daleko za granicami. Na uroczystość charakteru czysto narodowego i cywilizacyjną, wysłał cały kraj liczne niezmiernie deputacye do Pragi i przyszli tego dnia zastępcy całego narodu, z Czech, Morawii i Szląska, nawet i goście z krajów słowiańskich, przyszli biedni i bogaci bez względu na stan i wyznanie, ażeby przed węgielnym kamieniem złożyć przyrzeczenie, że »co naród rozpoczął, naród też dokona.« Tysiące chłopów czeskich pożegnało wtedy swoje pługi, ażeby w »maticzcie Praze« być obecnymi na uroczystości. To też nie bardzo się musiało podobać dziennikarzom niemieckim i krzyczeli w gazetach swoich zaraz, »że Czesi obchodzą uroczystość założenia teatru — za pomocą chłopów!« A jednak był to tylko głos zazdrości, bo zapewne podwójne miało znaczenie, że i na uroczystość takiego znaczenia tysiącami przyjeżdżali dzielni chłopi czescy.

Jeżeli jednak głębokie wrażenie musiała sprawić uroczystość założenia kamienia węgielnego, jakże dopiero głęboko moralnego stanowiska jest historya składek, czynionych z głośnym hasłem Narod sobie!

Prawie przez trzydzieści lat brzmiało to hasło po czeskich miastach i siołach, przenikało do gór i do pustyń, wywołując wszędzie, gdzie tylko czeskie serce

*) Z najstarszej odezwy w sprawie czeskiego teatru przytaczamy następujący ustęp: »Jednak dotąd brakuje nam tego, bez czego jeżeli zostaniemy, pytanie, czy Europa uznałaby nas za naród ucywilizowany.«

biło — skutek czynu. Działalność w sprawie składek rozwija się na coraz obszerniejszym gruncie, a chociaż niezdołamy zanotować ni tysiącznej części tego, co dziś nas powinno napełnić podziwem, przecież sądzimy, że i krótkie niniejsze słowa zdołają podać obraz przynajmniej stosunkowy ruchu i zapału nadzwyczajnego, jaki się pokazał w tej sprawie w Czechach.

Sam komitet zajmujący się budową wielkiego teatru rozwinął czynność niezmierną. Odezwy jego »do Czechów«, odznaczają się gorącem ciepłem patryotycznem i spotykały się z rezultatem stosunkowo ogromnym. Największy ruch agitacyjny w sprawie składek nastąpił w połowie lat sześćdziesiątych. Otóż w roku 1865 w Pradze i na prowincyi rozesłano przeszło 30,000 listów subskrypcyjnych i przeszło 100,000 odezw. Przenikały te odezwy i do chat najbardziej oddalonych od ruchu umysłowego.

Prócz tego, rozesłano 10,000 listów w sprawie składek do rozmaitych gmin (wraz z instrukcyą, jak się zbierać mają), dalej znów 6,000 odezw do mieszkańców Pragi i 2000 egzemplarzy podobnych odezw rozesłano do różnych towarzystw, banków, korporacyj itd. Nadmienić wypada, że wielka część odezw i plakatów wykonana została przez patryotycznych właścicieli drukarń bezpłatnie. Taka działalność komitetu musiała naturalnie doznać powodzenia, bo zbierano literalnie po całym kraju. W maju wynosił fundusz w gotówce 193,000 guld. 56 i pół kr.

W przeciągu lat zebrano jednak przeszło milion! Przez znaczny szereg lat były składki pod hasłem »Naród sobie« na dziennym porządku i nieustępowały prawie ani na chwilę. Każdy »porządny« Czech czuł się już obowiązanym moralnie według sił swoich, przyczynić się do szczęśliwego zakończenia wzniosłej sprawy narodowej. I prawda, przez długi szereg lat biedny i bogaty, prosty robotnik i walczący z nędzą literat, każdy według możności ofiarował swój grosz na rzecz teatru — »sam sobie.«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Potworna ryba. Obrazek z tym podpisem przedstawia, jak załoga pewnego amerykańskiego okrętu w zatoce Payta w Peru złowiła dziwną rybę, zwaną djabelską. Majtkowie statku spostrzegli na morzu wielkie czarne plamy, a przytem wody morskie bałwaniły się wielce. Rybacy, pływający w łodziach blisko miejsca, gdzie się ryba pojawiła, uciekali przed nią. Spuszczono przeto z okrętu łódź z kilku majtkami na morze w tym celu, aby ową rybę ułowić. Ostrożnie przybliżyli się ku niej i oficer rzucił hak, zwany harpuną, jakiego używają przy połowie wielorybów. Potworna ryba zaczęła uciekać, łódź płynęła za nią. Z okrętu wysłano drugą łódź z 10 ludźmi na pomoc. Z obu łodzi strzelano do uciekającej ryby, którą widocznie ciężko raniono, gdyż po dwóch godzinach gonitwy wypłynęła nieżywa na powierzchnię. Majtkowie zahaczyli o nią haki i przytransportowali ją do okrętu, gdzie ją powieszono na maszcie, jak na obrazku widać.

Przekonano się, że należy ona do gatunku ryb chrząstkowych. Miała kształt równoramiennego trójkąta. Długość jej od głowy do ogona wynosiła przeszło 14 stóp, grubość tułowia 3 stopy, a ważyła 40 centnarów. Skóra wierzchnia czarna była cienka i chropowata, jak u hai (wilka morskiego.) Na brzuchu i głowie znajdowały się żółtawe plamy, mające kształt czworoboku. Głowa, nad trójkąt tułowia nieco wystająca, miała nad paszczęką dwa otwory nosowe, oczy naprzód wysadzone, a w ich pobliżu dwa otwory uszne. Po obu stronach paszczęki znajdowały się chrząstkowe narośla, po 14 cali długie, 3 cale grube, zakrzywione nieco; zdaje się, że służyły potworowi do podawania pokarmu do paszczęki, Po obu stronach dolnej szczęki widać było pięć wielkich otworów; ogon był cienki, czworograniasty, chropowaty. W żołądku znaleziono same rośliny a ponieważ zębów w paszczęce nie było ani śladu, przypuszczają, że ta ryba tylko roślinnym pokarmem się żywi.

Podobne potworne ryby złowiono już dawniej w innych stronach, lecz żadna z nich nie była tak wielka jak niniejsza.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Tylko trzy grosze.

Pewnego wieczora, wracając z dalekiej pieszej wycieczki, byłem bardzo zmęczony i zabrałem się z pewnym gospodarzem jadącym ku miastu. Woźnica, człowiek w sile wieku, o wesołem, pociągającem wejrzeniu, wdał się ze mną w rozmowę. Ujechawszy kawałek drogi, spotkaliśmy mężczyznę niemłodego, którego mój woźnica bardzo uprzejmie pozdrowił, pomimo że łachmany, twarz sina i obrzękła, krok chwiejny aż nadto dowodziły nałogu, któremu się spotkany oddawał.

— Kto to taki? — spytałem.

— To mój nauczyciel.

Spojrzałem badawczo na mówiącego, który śmiejąc się, opowiedział co następuje:

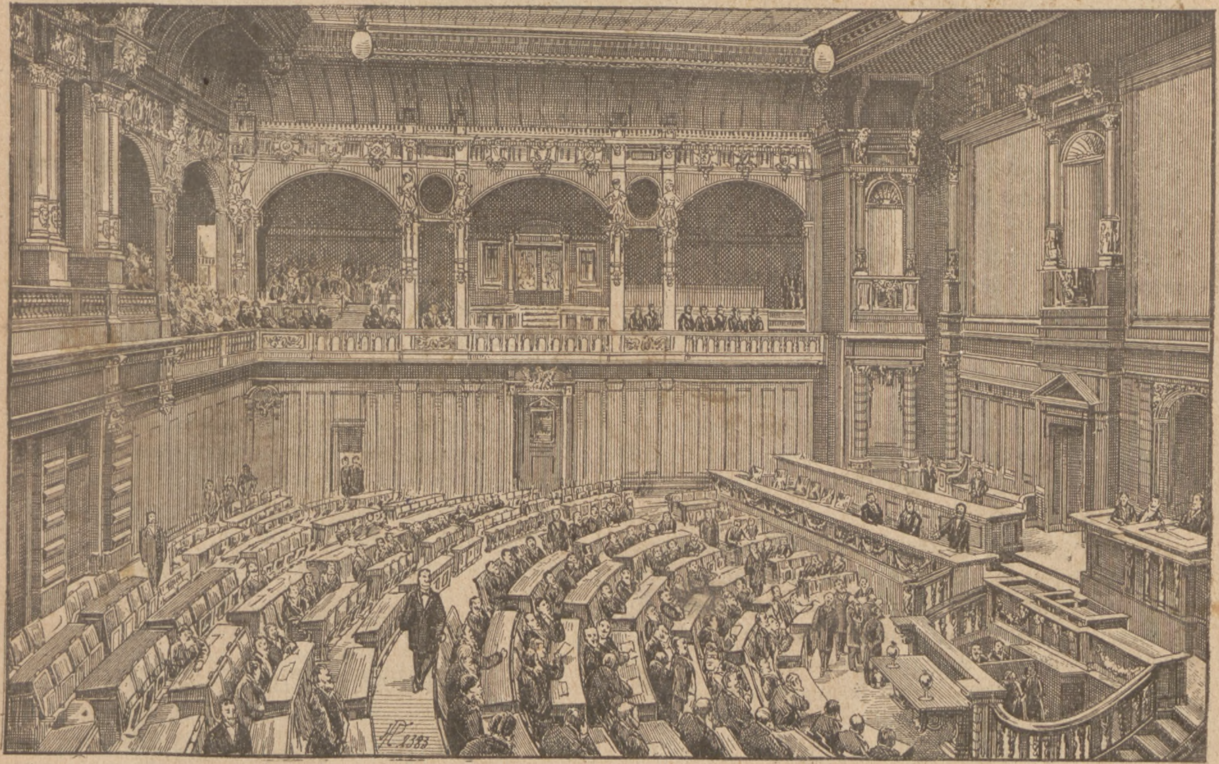
— Jestto mój rówiennik, Marcin K.; chodziliśmy razem do szkoły, razem przystępowaliśmy do pierwszej komunii św. Już wtenczas był Marcin swawolnym i lekkomyślnym chłopakiem, to też unikałem go jak mogłem. Przypadek zrządził jednakże, żeśmy u jednego i tego samego gospodarza przyjęli służbę. Pierwszego dnia idąc do pracy, wstąpił Marcin do karczmy, na rozgrzewkę, jak mówił. Ja zostałem przed karczmą a Marcin rzekł:

— No i cóż świętoszku, żal ci trzech groszy? Myślisz, że jak je oszczędzisz, będziesz panem?

Przy robocie słowa te ciągle przychodziły mi na myśl. Trzy grosze, suma wprawdzie nie wielka, ale co dzień trzy grosze to czyni na rok 180 srebrników czyli 6 talarów. Obliczyłem sobie, cobym za te 6 zaoszczędzonych co rok talarów mógł kupić: drzewa na zimę i kozę, a koza daje mleko. Za 6 tal. mogę od mego gospodarza wydzierżawić morgę gruntu, któraby mnie i rodzinę wyżywiła. 6 talarów to procent od kapitału, za który mógłbym kupić konia i wóz, a potem furmanić. Zamiast więc co dzień trzy grosze przepić, lepiej je składać do skarbony, ażeby mieć na początek, gdy się ożenię. Jak umyśliłem tak zrobiłem. Bóg błogosławił i oto dzisiaj zawdzięczam w części Marcinowi, że jestem sobie zamożnym gospodarzem.

Zkąd powstało „Prima Aprilis“?

Za panowania Rzymian w nocy z dnia 31-go Marca na dzień 1-go Kwietnia niewiadomego roku spadł w mieście Rzymie śnieg tak wielki, jakiego wówczas tam żyjący mieszkańcy jeszcze nie widzieli. A jak to zwykle bywa, że nie wszyscy mieszkańcy, zwłaszcza wielkich miast, snem błogim w domu spoczywają, znaleźli się więc w Rzymie i tacy, któ-

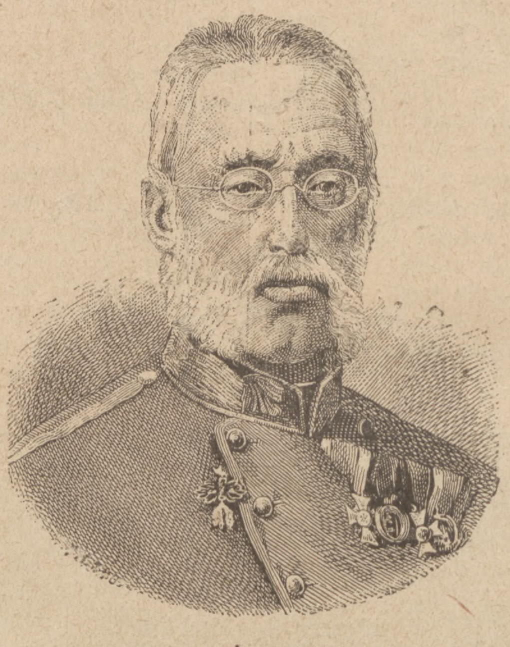


SALA OBRAD PARLAMENTU NIEMIECKIEGO.

rzy ową noc poza domem spędzali. Ci spostrzegłszy całe ulice śniegiem grubo pokryte, pospieszyli do swych domowników, krewnych i znajomych, by ich o tem dotąd niewidzianem zjawisku zawiadomić.

Na tę wiadomość wszyscy mieszkańcy domów znaleźli się w jednej chwili na ulicy; starsi wiekiem przypuścili szturm do pomieszkań swych sąsiadów, młodzież zabrała się do kul śnieżnych i staczała walne bitwy między sobą, przyczem i dziatwa niepośledni udział brała. Tym sposobem w przeciągu jednej godziny cała ludność Rzymu znalazła się na ulicach i placach publicznych, a w całem mieście rozlegał się niezmierny hałas, jaki tylko powstaje z kroci gorączkowo jarmarkujących głosów. Nakoniec zawitał poranek, słońce się pokazało, śnieg powoli znikał, a gwar ustał. Przez cały dzień starsi o niczem innem nie rozmawiali, jak tylko o wrażeniu, jakiego kto doznał; młodzież o guzach ile takowych jeden albo drugi oberwał, a dziatwa o sandałkach, które w śniegu pogubiła; jednem słowem ten dzień 1-go Kwietnia zapisał się mieszkańcom Rzymu w pamięci.

W następnym roku, kiedy się zbliżał dzień 1-go Kwietnia, młodzież powzięła zamiar noc całą czuwać, ażali znowu śnieg nie spadnie, lecz ich życzenie spełnić się nie mogło, gdyż czyste i pogodne niebo jaśniało od gwiazd niezliczonych. Tak zawiedzeni pospuszczali nosy, lecz nie tracąc fantazyi, uradzili przed wschodem słońca pospieszyć do swych domowników, krewnych i znajomych z tą nowiną, że śnieg i w tym roku spadł. A gdy kto w ten sposób z pomieszkania zwabiony, na ulicy się pokaże i spyta: a gdzież ten śnieg? — nuż śmiać się z jego łatwowierności i jemu odpowiadać: Prima Aprilis.



ARCYKSIĄŻĘ ALBRECHT.

Co uradzili, to i wykonali. Ten niewinny figiel zwodzenia już pierwszym oszukanym bardzo się podobał, albowiem powróciwszy do swych domowników, budzili ich ze snu, zwodzili i »Prima Aprilis'em« obdarzali. Lecz nie dość im tego było, pospieszyli do swych sąsiadów, by i tych zwodzić i z nich się także naśmiać do woli. Ten nowy sposób zwodzenia wprawił znowu całą ludność Rzymu w ruch nadzwyczajny. Przez cały dzień nikt nie próżnował, tylko przemyśliwał, jakim by sposobem mógł zwieść drugiego i »Prima Aprilis'em« go obdarzyć. I ten dzień pierwszego Kwietnia zapisał się mieszkańcom Rzymu niemniej głęboko w pamięci. To spowodowało, że pokaźna liczba mieszkańców na godne przyjęcie następnego pierwszego Kwietnia cicho wedle możności należycie się przyspasabiała

Kiedy w następnym, trzecim roku dzień pierwszego Kwietnia zawitał, na nowo zawrzało. I tak: przyjaciel zawiadamia swych przyjaciół, że ciężko zachorował i prosi ich, by przybywali na pożegnanie, gdyż łatwo być może, że on już więcej nie zobaczy słońca zachodzącego. Na wezwanie takiego rodzaju jeden i drugi z wezwanych spieszy do chorego i staje zdziwiony, jak wryty, widząc przyjaciela przy dobrem śniadaniu; ten wstaje, ściska serdecznie przybyłego, śmiejąc się z niego i obdarza go »Prima Aprilisem«. Sąsiadka wzywa swe sąsiadki, by przybywały jej stroje i klejnoty, jakie otrzymała w darze, podziwiać; niemniej i tym także za ich łatwowierność dostaje się w udziale »Prima Aprilis.« Takim i podobnie obmyślanym sposobem w kołkach domowych zwodzono się wzajemnie; młodzież poszła za przykładem starszych; a nawet publika rzędu niższego nie próżnowała po za domem, na ulicach i placach publicznych; jednem słowem w całem mieście toczono cichą lecz zaciętą walkę językową.

Odtąd dzień pierwszego Kwietnia stał się dla Rzymian niejako dniem powszechnej radości i obchodzono go w następnych latach nietylko w Rzymie, lecz także później z wielkiem zamiłowaniem w państwie rzymskiem. Tak powstał »Prima Aprilis«. Rzymianie zeszli już bardzo dawno z widowni świata, lecz powstały po nich zwyczaj zwodzenia drugich wije się jakoby nić nie przerwana od wielu wieków po dziś dzień wśród narodów europejskich.

Jak ratować drzewka namarzłe?

Ostre zimy 1890/91 i 1892/93 dały się w wielu okolicach drzewkom owocowym grubo we znaki. W niektórych szkółkach tysiące

drzewek mianowicie śliwek i brzoskwiń w skutek ostrych mrozów zniszczało. I u nas niejedno młode drzewko mocno ucierpiało i zawczasu ratować je trzeba, inaczej dostanie raka lub zgorzelizny (Brand) i zmarnieje. Najczęściej obmarzną drzewka od strony południowej, ale zdarza się też, że i północna strona ucierpi, i to zwykle na stopę lub półtorej stopy po nad ziemią, tam też głównie drzewka zrewidować należy. Jeśli przy lekkiem nacięciu ostrym scyzorykiem się okaże, że kora jest brunatną, czarną, lub żółto-brunatną, a nie zieloną, to jest znakiem, że namarzła. Natenczas przekonać się trzeba, czy to namarznięcie jest tylko powierzchownem, to jest czy łyko jest zdrowem i czy koloru biało-żółtawego nie straciło, lub też czy nie zmarzło, to jest nie zczerniało aż do drzewa. W takim razie zdarza się nieraz, że obmarznięcie głęboko sięga i drzewo mocno ucierpiało.

Latem miejsca takie obmarznięte łatwo po tem poznać można, że kora na nich się kurczy i pęka i to często, aż do drzewa. Drzewa, które w ten sposób ucierpiały, dostają, jak się wyżej powiedziało raka i w końcu marnieją.

Aby temu zapobiedz postępuje się w następujący sposób: Drzewka, które tylko powierzchownie ucierpiały i mają jeszcze zdrowe łyko, nacina się scyzorykiem w dłuż wężowato w kilku miejscach chorych aż do drzewa, potem oblepia się wszystko mięszaniną urobioną na ciasto ze starej zwietrzałej gliny i plew lub świeżej bydlęcej mierzwy i owiąże dobrze kawałkiem drelichu. W ciągu roku zagoją się takie rany.

Gorzej jest, gdy kora i łyko zmarniały, a drzewo dostało czarnych plam, tam koniecznie chore miejsce ostrym scyzorykiem w głąb aż do zdrowego, a więc białego drzewa wyrznąć trzeba, w szerz zaś aż do zupełnie zdrowej zielonej kory. Wyrżniętą ranę zalepia się jak wyżej tą samą mięszaniną z gliny i bydlęcej mierzwy i obandażuje tak samo. Rany takie potrzebują zwykle dwóch lat do zagojenia.

Podczas skwarów od czasu do czasu te bandaże wodą pokropić należy. Rozumie się samo przez się, że takie chore drzewa na zimę dobrze słomą i szmatami obwinięte być powinny, aby od nowa nie namarzły. Przy drzewach uszkodzonych podczas pożaru tak samo postępować należy.

Grusze i jabłonie dadzą się w powyższy sposób wyleczyć, gorzej jest ze śliwkami, tereśniami, aprykozami i brzoskwiniami, gdyż u drzew tych namarzniętych miejsc wykrawać nie można, gdyż dostaną upławu gumy — choroby, na którą zmarnieją. Przy powierzchownem namarznięciu takich drzew obwija się tą samą masą i w ten sam sposób co u grusz i jabłoni, ale nie nacina nożem kory. Gdyby się pokazać miał upław gumy, to się gumę wyjmie, ranę letnią wodą wymyje i zabandażuje jak wyżej. Oprócz tego dla wzmocnienia drzewa, podda mu się na jesień wapna niegaszonego w proszku, lub też utłuczonego wapna, jakie odpaduje od budynków, zmięszanego z dobrą ziemią, i zakopie pod korzenie. Powyższą kuracyą dwa razy do roku powtórzyć można.

Śliwy, które mocno ucierpią od mrozu lub ognia i które wiele gumy rozlewają najlepiej użyć na ogień, bo z nich pociechy nie będzie!

Praktyczne rady.

— **Zużytkowanie sadzy.** Sadze użyte jako nawóz oddziaływają bardzo korzystnie na wzrost cebuli, traw i roślin okopowych, jak również drzew owocowych. Pomięszanych z solą i popiołem używa się na jesieni w warzywnikach, posypując niemi zagony; przyczynia się to nietylko do silnego warzyw rozwoju, ale nadto chroni je od owadów. Dla roślin doniczkowych najlepsze są sadze w stanie płynnym, rozpuszczone we wrzącej wodzie. Dla trawników stanowią one także wyborny nawóz, którym najlepiej jest posypywać trawniki w porze dżdżystej.

— **Umocowanie basenów** do lamp petrolejowych. Kawałek ałunu (Alaun) topi się na blaszannej łyżce. Gdy się roztopi zaraz szybko się wlewa do otworu postumentu lampy i jak najprędzej szklanny basen się wsadza na swoje miejsce. Roztopiony ałun szybko stygnie, więc udanie się operacyi zależy głównie od szybkości wykonania. W ten sam sposób można przytwierdzić mosiężny pierścień do górnej części basenu lub blaszanną rurkę do szklannego czopiku u spodu basena.

Rozmaitości.

* **Zakopany skarb.** »Gazetta die Venezia« podaje wiadomość, iż Leon XIII rozczytując się w listach, pozostałych po Piusie VII. uczynił odkrycie, że Papież ten, kiedy go przemocą uprowadzono do Francyi, zakopał w pewnej winnicy, która obecnie należy do niejakiego Barbeliniego, znaczną sumę pieniędzy. Ojciec św. zakupił rzekomo tę winnicę, zarządził w niej poszukiwania, a poszukiwania te miały istotnie doprowadzić do znalezienia skarbu. Barbelini miał otrzymać część znalezionej sumy.

* **Ile dzieci rodzi się rocznie?** Międzynarodowe towarzystwo statystyczne w Paryżu, zajęło się tem pytaniem i doszło do wniosku, że na całej kuli ziemskiej rodzi się przez rok 36,000,000 dzieci, czyli na jednę minutę wypada około 70 dzieci, a na sekundę więcej niż jedno dziecię. Gdyby wszystkie te dzieci miały kołyski, to ustawiwszy je obok siebie, utworzyłyby się łańcuch,

wyrównywający długości równika ziemskiego. Gdyby wszystkie matki z dziećmi zaczęły iść n. p. przez Paryż, to od chwili wejścia do miasta pierwszej matki, a wejścia ostatniej, upłynęłyby cztery lata.

ŻARTY.

Pociecha.

Żona. Zrobił mi się wrzód na ustach, słowa wymówić nie mogę...

Mąż: Widać, że i nieszczęście ma swoją dobrą stronę.

I tego mu żal.

— Nad czem Szmul tak się zamyślił?

— Ja miszlę, co ja jestem stratny może ze dwa funty twarzy...

— Jakto?

— Co ja wczoraj miałem spuchniętej twarzy jak bania a dżyszaj opuchnięcie zginuło, to gdzie sze podziało taki kawał twarzy?

Żona: To ty nad samym rankiem przychodzisz dopiero do domu! Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Mąż: Kochana żono, i ja tak samo.

Rozwiązanie zagadek
z Nr. 1 „Światła“.

I.

Narody, które zaniedbawszy swego **języka,** chwytają się obcych i nimi między sobą **mówią,** podobne są do **niewdzięcznych** synów, którzy matkę **własną** z domu wyrzuciwszy, przyjęli przychodnią **niewiastę** i ją sobie za matkę **mają.** To można **mówić** o niektórych Polakach. Wygnali za **próg** matkę **swoję,** a obcą przyjęli na **miejsce** matki. Nasza matka w **kąt** zarzucona, bez **ozdoby,** bez dostatku zostaje, w **sukniach** łatanych chodzić **musi;** ta zaś **nowa** w klejnociki się **matki** naszej stroi, i suknie **matczyne** nie do swego wzrostu ani **twarzy** robione bierze; zgoła z matki **niewolnicę** uczynili. Kto przez **ojczysty** język do umiejętności **dąży,** ten idzie drogą **królewską,** otwartą, bitą i **bezpieczną;** kto przez **obcy** do tego końca zmierza, idzie manowcami i **omylnemi** ścieżkami.

II.

O - PO - LE.

Wszystkie słowa pierwszej (25) i drugą zagadkę odgadli: St. Nawrowski z Poznania, Marya Szafraniec z Ś. Łagiewnik, Elźbieta Grześkowiak z Sulmierzyc.

24 słowa: Jadwisia Nowakowska z Kopaszewa, J. Tatkowski z Łąki, J. Kłoś z Jazińca, Halinka i Stefcia Herbst z Strzyżewa kościelnego.

22 słowa: J. Badura z Rożdzienia, A. Śmigalski z Ostrowa, Zyg. Szulc z Gniezna.

21 słów: Jan Giera z Wolskiego.

20 słów: Antoni Reiter z Krotoszyna, Lud. Fic z Rożdzienia, J. Śliwka z Szobieszowic, Marcel Handow z Sokolnik, K. Świt z Torynia, Kucharski z Poznania.

19 słów: J. Adamczyk z Biertułtów, Ant. Brachmański z Pszowa, J. Lazar z Brzesc, Fr. Klos z Brzesc, P. Chodzidło z Polskiej Wisły, Zeidler z Mogilna, J. Jurczyński z Wełnowca, Fr. Gutsfeldt z Król. Huty, Teodozya Lewandowska z Wronek, J. Cieślak z Jeżyc, Fr. Nierzwicki z Więcków (w Prusach Zach.).

18 słów: St. Polak z Siemianowic, Ant. Andrzejowski z Rudy, Fr. Smykała z Zaborza B., Albina Rasek z Ujazdu, Aug. Franik z Zaborza, W. Górski z Borzejowa, J. Kołoczek z Wirku, Fr. Gracek z Niem. Piekar.

17 słów: J. Pozimski z Starych Tarnowic, J. Barlik z Sadków, Marya Żur z Wyrów, Z. Hoffmann z Kwilcza, N. Gzężlikowski z Wierzchucina (Pomorze), L. Kawka z Suchej Góry, J. Werner z Lipin, Wawrzyn Hajda z Niem. Piekar, K. Lamperski z Szpandawy (bez drugiej zagadki).

16 słów: J. Zoglówek z Wirku, Kaletka z Wielichowa, Salomea Quella z Pałkowic, B. Świeczkowski z Więcków, J. Knop z Zabrza, J. Kępski z Będzitowa.

15 słów: J. Kuboł z Rothhauzu.

14 słów: Szymon Czypionka z Burowca, Ł. Wallis z Rozbarku.

13 słów: Al. Maciejczyk z Rozbarku, W Kiełpiński z Poznania, J. Skiba z Katowic, W. Lipiński z Pelplina, L. Śmieszkot z Siemianowic.

12 słów: Jan Osypka i Jan Kluzik z Katowskiej Hołdy, Ant. Szczesz z Górnych Hajduk, J. Kinowski z Szewc, St. Markowiak z Przysieki Niemieckiej, Marysia Łaszewska z Pogódek, Maryanna Janicka z Głogowy.

11 słów: Win. Wojtoń ze Lwowa, Mikołajczak z Koźmina, Tomaszewski z Ślachcina, P. Giera z Czacza, M. Strużyński z Środy, J. Nowak z Miasteczka.

Wszyscy inni odgadli mniej słów.

Dodajemy, że wielu dodało inne słowa, które także myśli powyższych zdań odpowiadały. Lecz sztuka była w tem, aby właśnie te słowa odgadnąć, które w oryginale czyli w dziele ks. Włodka, się mieszczą.

Przy losowaniu przypadła I nagroda (12 marek) p. St. Nawrowskiemu z Poznania, II nagroda (8 marek) p. Maryi Szafraniec z Ś. Łagiewnik, III nagroda (4 m.) p. Elźbiecie Grześkowiak z Sulmierzyc, IV nagroda (4 m.) p. Jad. Nowakowskiej z Kopaszewa, V nagroda (4 m.) p. J. Kłoś z Jazińca.

Pp. Tatkowskiemu z Łąki i Halince i Stefci Herbst, którzy także po 24 słowa odgadli, a los im nie sprzyjał, posłaliśmy w nagrodę po książce.

W przyszłym numerze „Światła“ podamy znowu podobne zagadki.

Gdzie jest wilk?



Prosimy odnowić na II-gi kwartał przedpłatę na „Światło“.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.